

Dr Tadeusz Z. Błazyński
Wetherby - Anglia

Warszawianie czasu wojny (pamięci czortkowskich gimnazjalistów)

Warszawa wczesnych lat wojennych była przytułkiem dla tysięcy uciekinierów spod sowieckiej okupacji, jak też dla wielu wysiedlonych z obszarów wcielonych do III Rzeszy. W tym kotłowisku ludzi, ściągających do stolicy z całego kraju albo w rezultacie narzuconych przez okupantów zmian politycznych, albo usiłujących “zniknąć” w anonimowej masie ze względu na osobiste bezpieczeństwo, trudno było odnaleźć “bratnie dusze”. Taka właśnie była moja sytuacja, gdy w latach 1940/1942 uczęszczałem do Liceum Metaloznawczo-Odlewniczego zorganizowanego przez prof. W. Gierdziejewskiego na terenie (zamkniętej przez okupanta) Politechniki Warszawskiej¹.

Mieszkając z Matką przy ul. Kieleckiej 46, a później przy Górnośląskiej 16, obracałem się wyłącznie w towarzystwie moich nowych kolegów. Byli to głównie warszawianie, ale znajdowała się wśród nich również mała “pokresowa” gromadka, paru ślązaków, łodzian i poznaniaków. Ciężkie raczej warunki materialne oraz trudności związane z nauką (przeskok z III kl. ogólnokształcącego gimnazjum do liceum technicznego) - nie dawały czasu ani też chęci do szukania innych, być może przedwojennych kontaktów.

Przypadek potrafi niekiedy zmienić bieg wydarzeń. W zimie 1941/42 Matka moja spotkała na ul. Marszałkowskiej p. Eugenię Rowecką. Znały się dobrze ze spotkań towarzyskich i partii brydżowych zarówno u rodziców jak i w Kasynie Oficerskim w Czortkowie, gdy płk Stefan Rowecki był dca Brygady KOP “PODOLE”. Rozmowa skoncentrowała się oczywiście na mężach. Ojciec, aresztowany 30 września 1939 r. i zaginiony bez śladu² po parumiesięcznym pobycie w czortkowskim więzieniu, i płk Rowecki - we wrześniu 1939 dca Warszawskiej Brygady Pancerniej również - wg relacji p. Roweckiej “zniknął bez wieści”. (Rozszyfrowanie konspiracyjnej identyczności generała “Grota” nastąpiło oczywiście dużo później).

To przypadkowe spotkanie obu pań wpłynęło zasadniczo na rozwój moich kontaktów. Pani Rowecka dała Matce adresy pań Włostowskiej i Ratajskiej - matek moich gimnazjalnych kolegów z Czortkowa.

¹ “Głosy Podolan” nr 14/1996.

² Zamordowany przez NKWD na Ukrainie wiosną 1940 r. (“Ukraiński Ślad Katynia” - MSW W-wa 1995, str.159. Lista 64/3-200.

Majorowie Włostowski i Ratajski byli tam oficerami KOP-u, ten pierwszy w sztabie, drugi w artylerii, a ich synowie Ryszard i Maciej chodzili ze mną do II kl. Gimnazjum im. J. Słowackiego. Wojciech Ratajski, starszy od nas, był już w IV klasie.

Będąc szczególnie zaprzyjaźniony z Ryszardem Włostowskim, pierwsze swoje kroki skierowałem na Chmielną 61. (Przedziwny to zbieg okoliczności, że bez mała dwa lata później D-two 2 Harcerskiej Baterii Plot, w której służyłem przed i w czasie Powstania, ulokowane było właśnie pod tym adresem (w suterynie drukarni B-ci Wierzbickich).

We wrześniu 1939 r., po zajęciu Czortkowa przez Armię Czerwoną, p. Włostowska z synem i córką (Zofią) opuściła mieszkanie w bloku oficerskim, ostrzeżona przez mieszkającego już u niej "komandira" o grożących jej konsekwencjach jako żonie zawodowego oficera polskiego - i wyjechała do Lwowa. Stamtąd, w chaosie wczesno-jesiennej fali uchodźców wojennych, dostała się do części kraju okupowanego przez Niemców, a w końcu do Warszawy. Podobne były również losy rodziny Ratajskich, którzy opuścili Czortków we wrześniu dosłownie tylko z plecakami i "przefiltrowali się" jesienią do Warszawy, gdzie zamieszkali u siostry p. Ratajskiej przy ul. Polnej.

Mjr Ratajski, jak się okazało, dostał się do niewoli niemieckiej i przebywał w Oflagu w Murnau (w Bawarii), a o mjr. Włostowskim wiadomo było, że w ostatnich dniach wrześniowej pozozi przekroczył granicę rumuńską. (W roku 1947 odszukałem ppłk. Włostowskiego w obozie wojskowym w Newcastle-upon, Tyne w Anglii).

Uratowanie się z sowieckiego zalewu i dotarcie do bezpiecznego - na pozór - warszawskiego brzegu bardzo zbliżyło naszą czwórkę, do której dołączył na krótko a potem szybko odpłynął - Spytek Jordan, kolega z III klasy czortkowskiego gimnazjum, również syn oficera KOP-u.

W tej stosunkowo wczesnej fazie wojny należenie do podziemia nie było, jak później, niemal automatyczne. Głównym problemem było w tym czasie uniknięcie wywiezienia do przymusowej pracy w III Rzeszy. Nieliczne szkoły techniczne lub praca w zakładach przemysłowych pod zarządem niemieckim dawały "bezpieczne" Ausweis-y, których okazanie podczas łapanek ulicznych chroniło od wywiezienia. Dlatego właśnie, choć bez entuzjazmu (ponieważ chciałem zostać dziennikarzem) - wstąpiłem do liceum technicznego. Podobnie Maciek Ratajski zapisał się do szkoły technicznej Wawelberga. Natomiast Wojtek - zdecydowany na studia medyczne - znalazł inne rozwiązanie. Jego matka otrzymała przez swoją siostrę pracę (o charakterze administracyjnym) w fabryce czekolady Wedla, pracującej wyłącznie dla okupanta. Przy uczynnej tamtejszej pomocy biurowej uzyskała dla Wojtka fałszywą Arbeitskartę i Ausweis. Dzięki temu, nie mając jeszcze matury, mógł skoncentrować się na nauce na podziemnych kompletach. Ryszardowi Włostowskiemu nie udało

się dostać do żadnej szkoły, wobec czego musiał podjąć pracę fizyczną w jakimś miejscowym Baustelle.

Długie godziny pracy, zarówno w szkołach technicznych jak i w placówkach przemysłowych (od 8 do 18 w szkołach, od 7 do 17 w przemyśle) oraz godzina policyjna (20⁰⁰ w zimie, 21⁰⁰ w lecie) ograniczały czas wolny na spotkania do sobotnich popołudni i do niedziel. Spotkania jesienią i zimą nie były więc częste, a w przypadku Ryśka jeszcze rzadsze, ponieważ musiał dodatkowo dorabiać by zapewnić utrzymanie matce i siostrze.

W grę wchodzić mogły tylko domowe spotkania towarzyskie, skoro o rozrywkach (np. kino) nie było mowy. Nieliczne, a dostępne dla ludności polskiej kina, grały filmy propagandowe lub szmiry niemieckie, a dochód przeznaczony był na wojenne potrzeby Rzeszy. "Tylko świnię siedzą w kinie" - brzmiał ówczesny znany slogan podziemia.

Duże mieszkanie Ratajskich stało się w tej sytuacji naszą "centralą towarzyską". Cieszyło się dodatkowo posiadaniem balkonu wychodzącego na cukiernię Lardellego - "Nur für Deutsche" - gdzie zwykle żwawo przygrywała orkiestra, której mogliśmy słuchać bezpłatnie, a przy okazji obejrzeć kwiat miejscowego Wehrmachtu.

Choć spotkania nasze były głównie natury towarzyskiej, dawały nam możliwość dyskusowania na temat wydarzeń w dalekim i wolnym świecie, i tych bliższych nam - aresztowań, łapanek ulicznych, braków żywnościowych i wciąż jeszcze stosunkowo rzadkich objawów działalności ZWZ i powstającej z niego AK. Od czasu do czasu wpadał nam do rąk egzemplarz "Biuletynu Informacyjnego" lub innego podziemnego pisma, i dzięki temu myśli nasze zaczynały kierować się na inne tory. Samo przeżycie wojny - ideał tych wczesnych lat - powoli stawał się dla nas coraz mniej ważnym. Na kanwie wyobraźni zaczynał się malować inny obraz. Intelktualny przeskok z chłopięctwa do dojrzałości - z pominięciem przejściowej fazy młodzieżowej - stawał się rzeczywistością.

Mimo niepowodzeń, a czasami wprost katastrof militarnych Aliantów, nadzieja na pomyślne zakończenie wojny nigdy nie opuszczała warszawskiej społeczności. I choć widnokrąg naszych myśli wciąż jeszcze był zakryty woalem czarnych chmur, nie przestawaliśmy oczekiwać tego pierwszego promienia, który przebiłby oponę szarości codziennego, tak trudnego dnia okupacji.

Wiosna i lato 1942 r. przyniosły zasadnicze zmiany. Dzięki dłuższym dniom i późniejszej godzinie policyjnej mogliśmy częściej spotykać się wczesnymi wieczorami w Alejach Ujazdowskich, (Łazienki i Park Ujazdowski były również Nur für Deutsche), gdzie wkrótce dołączyli do nas wysiedleni z Płocka dwaj koledzy braci Ratajskich. Wiesiek Budyński

i Jurek Goździk³, choć zdecydowanie nie-kresowiaci, znakomicie dopasowali do naszej gromadki. Ponadto mój dwuletni kurs licealny dobiegł końca i późną wiosną zdałem maturę.

Dzięki pomocy prof. Gierdziejewskiego już w lipcu otrzymałem "bezpieczną" pracę technika w koncernie przemysłowym Lilpop, Rau und Löwenstein na Woli, który jako firma żydowska został w 1940 roku skonfiskowany i obecnie pod nazwą "Mars" GmbH pracował wyłącznie dla Wehrmachtu. Mój przyjaciel z liceum, lwowianin Krzysztof Jezierski w podobny sposób otrzymał pracę w Fabryce Lokomotyw. Obaj więc znaleźliśmy się nagle w innej sytuacji życiowej, która - jak myśleliśmy - nadawała się do dalszej eksploatacji.

Chociaż w gronie czortkowskim mówiliśmy coraz częściej o armii podziemnej, nikt z nas - jestem pewien - nie posiadał z nią wówczas żadnych kontaktów. Po głębszym przemyśleniu tej sprawy doszedłem do wniosku, że w nowych warunkach nadszedł dla mnie czas decyzji. I w czasie jednego z naszych spacerów z Krzysztofem wzdłuż Wisły, po raz pierwszy rozpocząłem rozmowę na temat walki podziemnej. Ku mojemu ogromnemu zdumieniu powiedział spokojnie: *Od dawna jestem w AK. Zamelduję o twojej decyzji.*

Członkostwo w Armii Krajowej stało się w ten sposób dla mnie faktem. Przydział: Kompania Harcerska "Żbik", przekształcona parę miesięcy później w 2 Harcerską Baterię Artylerii Przeciwlotniczej "Żbik", pod dowództwem przemyslanina ppor. "Żuka" - (Zdzisława Szczepańskiego). Wraz z siostrzaną 1 baterią, sformowaną w tym samym czasie, nowy dywizjon miał tworzyć podstawę do rozbudowy w późniejszym terminie korpusu artylerii plot.

Szkolenie zaczęło się od zasadniczego, znanego dobrze wszystkim z przedwojennego PW. Organizacja oparta była na konspiracyjnym "piątkowym" systemie sekcyjnym, w którym znało się adresy, nazwiska i pseudonimy tylko pozostałych czterech członków sekcji oraz jej dowódcy. Ten z kolei kontaktował się z dca plutonu za pośrednictwem łączniczek lub "skrzynki pocztowej". Dowódcą mojej sekcji był kpr. Ryszard Bartecki. Po złożeniu przysięgi wojskowej zacząłem służbę jako strzelec, a potem kanonier "Ładosz" i "Świda".

Wobec tego, że obowiązywało nas przestrzeganie ścisłej tajemnicy, mogłem powiedzieć Matce tylko tyle, że moja osobista sytuacja uległa zasadniczej zmianie. Nigdy więcej nie rozmawialiśmy na ten temat.

Skoro odprawy mogły odbywać się tylko w soboty, a ćwiczenia polowe w niedziele (zwykle w lasach koło Piaseczna lub w Kampinosie), powstały trudności ze znalezieniem usprawiedliwień dla częstych nieobecności na "czortkowskich" spotkaniach. W krótkim jednak czasie zo-

³ Obaj rozstrzelani w publicznej egzekucji na Nowym Świecie 9.12.1943 r.

rientowałem się, że nie był to tylko mój problem, wszyscy bowiem byliśmy jakoś “wmieszani” w prace konspiracyjne.

W lecie 1942 roku opublikowane zostały oficjalnie plany stworzenia wyłącznie niemieckiej dzielnicy w Warszawie, połączone częściowo z likwidacją “dużego” getta i przesunięciem murów w jego głąb. Zmieniło to osobistą sytuację zarówno Ratajskich, jak i naszą. Kamienica przy Elektorальной 45, jakiej właścicielem był szwagier kuzynki u której mieszkaliśmy, znalazła się teraz po “stronie polskiej”, Górnośląska zaś została włączona do dzielnicy niemieckiej i zapowiedziano wysiedlenie z niej ludności polskiej. W związku z tym oddano nam mieszkanie na Elektorальной (przeznaczone dla całej rodziny na wypadek wysiedlenia) z prośbą o natychmiastową przeprowadzkę. Podobnie rodzina Ratajskich musiała opuścić Polną i przenieść się na daleki Mokotów.

W sierpniu zmieniliśmy więc z Matką adres, co zbiegło się z nocnym nalotem sowieckich samolotów, które “sprawnie” zbombardowały kramy targowe na Kercelaku pozbawiając warszawian żywności, oraz nie mające nic wspólnego z Wehrmachtem domy w Śródmieściu.

Podstawowe szkolenie wojskowe zakończyło się na przełomie roku, i z początkiem 1943 r. “Żbik” stał się oficjalnie jednostką artyleryjską, a moja sekcja przemianowana została na działon. Bateria miała obsługiwać 20 mm działka plot (standardowe wyposażenie Luftwaffe do obrony obiektów miejskich) po zdobyciu ich - w odpowiednim czasie - przez piechotę. Według naszego rozpoznania działka znajdowały się na dachach Dworca Głównego (róg Marszałkowskiej i Al. Jerozolimskich), WIG-u, oraz Dworca Poczтового (przy ul. Żelaznej). Wchodziły również w grę - choć nieco później - działka na wieżach przeszłowych mostu Poniatowskiego.

Wprowadzone natychmiast wyszkolenie artyleryjskie było naturalnie czysto teoretyczne i oparte na (wyszabrowanych w różny sposób) niemieckich instrukcjach obsługi dział. Wprawdzie makieta działka została wyprodukowana i przechowywana była w jakiejś stodole za miastem, sam jednak nigdy nie miałem do niej dostępu.

Którejś niedzieli wiosną 1943 roku, po przelotnym utracie kontaktu z Ryszardem Włostowskim, wybrałem się na Chmielną aby sprawdzić co się u nich dzieje. Ku mojemu zdumieniu w bramie domu stał Wiesiek Budyński, który bez słowa kiwnął mi głową nie wykazując żadnej ochoty do rozmowy. Drzwi do mieszkania otworzyła mi siostra Ryszarda, i nagle znalazłem się w pokoju pełnym młodych, nieznanym mi ludzi. Była to odprawa rocznika podziemnej podchorążówki!

Tajemnica długiej nieobecności Ryszarda automatycznie się wyjaśniła, a konspiracyjna sprawność zachowania tajemnicy została raz jeszcze udowodniona. Odprowadzając mnie do drzwi Ryszard powiedział:

Dopóki nie zidentyfikowałeś się przed chwilą dcy Kompletu przez myśl mi nie przeszło, że jesteś także w AK.

Poza szkoleniem czysto wojskowym, brałem w tym czasie udział - jak wielu innych - również w akcji "N" (Mały Sabotaż) i w próbach poważnego sabotażu w odlewni. Moja tam funkcja polegała na opracowywaniu składu wsadów do pieców produkujących żeliwo i stal, a "pomyłka" w procentach składników mogła doprowadzić do "produkcji" złomu. Szczególnie interesująca była ta możliwość w odniesieniu do odlewania cylindrów do parowozów dla Reischsbahn-u. Choć moje pisemne instrukcje dla magazynu były jak najbardziej poprawne, krótka rozmowa od czasu do czasu z magazynierem dawała konkretne rezultaty. Produkowało się jakoś białe żeliwo zamiast szarego i cylindry automatycznie pękały. Oczywiście nie mogło to być robione zbyt często, bo wyjazd do Oświęcimia nie był atrakcją, ale katastrofalne wyniki można było w takich przypadkach usprawiedliwić złą jakością wojennych surowców.

Mniej więcej w tym okresie Wojtek Ratajski - zdawszy maturę na tajnych kompletach - zrealizował swe marzenia i wstąpił na podziemny kurs medycyny, zakonspirowany przy jednym z warszawskich szpitali. Wymagało to oczywiście praktyki szpitalnej, dostępu do laboratoriów, sal operacyjnych itp., wobec czego Wojtek otrzymał oficjalną pracę w tym szpitalu. Krótka - lecz znacząca dla jego przyszłości przerwa - nastąpiła w chwili aresztowania go w budynku będącym pod obserwacją gestapo. Kilkakrotnie ciężko pobity w trakcie przesłuchań, nie załamał się, w końcu zwolniono go z braku dowodów. W rezultacie stan jego zdrowia ucierpiał poważnie i permanentnie.

Na skutek naszej rozmaitej tajnej działalności, kontakty towarzyskie rozluźniały się coraz bardziej, ale spotykaliśmy się jeszcze od czasu do czasu u Ratajskich na Mokotowie. Rozmowy były jednak coraz częściej sztuczne. Najwyraźniej mieliśmy wszyscy coś ważnego do zatajenia i obawialiśmy się posunąć za daleko w otwartej rozmowie. Im mniej działało się o innych, tym większa była szansa, że w przypadku "wsypy" nic im zagrażać nie będzie.

Z biegiem czasu i szkolenia stopniowo awansowałem i na wiosnę 1944 objąłem dowództwo działonu w III Plutonie Baterii. Nastąpiło to po ukończeniu kilkumiesięcznej, podziemnej szkoły podoficerskiej, w okresie raczej trudnym.

Poza szkoleniem własnego działonu, musiałem czasami być również instruktorem podstawowego wyszkolenia Sekcji Łączniczek i Sanitariuszek (te ostatnie pod dowództwem Marii Jezierskiej, siostry Krzysztofa), tworzących zespół pomocniczych służb baterii. Zajęcia te pochłaniały prawie każdą wolną chwilę mego czasu. Wzrastające obciążenie obowiązkami możliwe było do zrealizowania tylko dzięki Matce, która nigdy nie kwestionowała mojej nieobecności w domu.

Wiosna 1944 roku rozpoczęła tragiczny okres.

Kpr. pchor. Ryszard Włostowski został w nieznanymi okolicznościach aresztowany przez gestapo i zesłany do KZ Lager Stutthof, gdzie wkrótce zginął.

Kpr. z cenz. Krzysztof Jezierski "Toporczyk" został aresztowany w łapance ulicznej na Brackiej i, po nieudanych próbach wydostania go z Pawiaka, rozstrzelany w ruinach getta.

Spytek Jordan, żołnierz KEDYW-u AK - zginął w napadzie na biuro Bahnschutz-u przy Marszałkowskiej. Celem napadu było zdobycie broni. (Relacja W. Ratajskiego).

Na dwa tygodnie przed wybuchem Powstania, w wyniku poważnej "wpadki" w baterii, musiałem przenieść się do mieszkania ciotki na ul. Szarotki 3 (Mokotów), pozostawiając Matkę na Elektoralskiej samej. Na Mokotowie doręczyła mi łączniczka 1 sierpnia rozkaz mobilizacyjny.

63 dni Powstania⁴, obóz jeniecki w Austrii⁵, 2 Korpus we Włoszech i Anglia - to dalsze moje losy.

Maciek i Wojtek Ratajscy, obaj służący w tym samym oddziale AK na Mokotowie, wzięli udział 1 sierpnia w szturmie na mocno bronioną przez Luftwaffe szkołę. Rannego brata Wojtek dociągnął do domu. Po upadku tej części Mokotowa, obaj wywiezieni zostali do Niemiec na przymusowe roboty. Maciej Ratajski zmarł 13.09.1944 z powodu wewnętrznego krwotoku ponownie otwartej rany. Pochowany jest w Giessen jako Ostarbeiter Mathias Ratajski.

Wojciech Ratajski, emer. dyrektor Szpitala Położniczego w Oleśnicy, zmarł 24.10.1999 r. w wyniku wieloletnich dolegliwości po doznanych torturach na Pawiaku.

Kazimierz Simon

Bielsko-Biała

Z mojego pamiętnika - wspomnienia z lat 1940 - 1945 Cz. III

Gestapowcy nie dawali wiary moim zaprzeczeniom i tłumaczeniom,

⁴ "Żbik" 2 Harcerska Bateria Artylerii Przeciwlotniczej. Oficyna Wydawnicza ADIUTOR, W-wa 1994. M. Kledzik "IV Zgrupowanie AK "Gurt" w Powstaniu Warszawskim BICO sp. z.o.o. W-wa 1994.

⁵ M. Kledzik "Smak Głodu" BICO sp. z.o.o. W-wa 1996.

że nie należałem do żadnej organizacji wojskowej, choć w podręcznej torbie nosiłem stale książkę do nauki księgowości, zeszyty do bilansów i Bescheinigung - co miało udowodnić, że uczęszczałem na kurs księgowości, zorganizowany oficjalnie przez dyrektora Dąbrowskiego przy publicznej zawodowej Szkole Kupieckiej przy Kergergasse 8. Na kurs ten uczęszczało wiele ludzi m. in. inż. Młynarski z żoną. Kurs był w pewnym stopniu zasłoną dla braku stałego zatrudnienia.

W celi nr 132 przebywał młody Cygan i pięciu rzezimieszków, których wkrótce zabrano na rozprawę sądową i już do celi nie wrócili. Był też jeden Ukraińiec, inteligent, syn księdza grek.- kat., więzień polityczny, nazywał się chyba Krynicki. Pozostali byli Polakami - więźniami politycznymi. Było dwóch oficerów ze Lwowa oraz por. AK z Rembertowa, który przychwycony został w Stanisławowie jako kurier. Nie wyleczony z tyfusu, przewieziony został na Łąckiego. Znalazł się też w naszej celi uczeń - harcerz lwowski, wywieziony później w nieznaną. Gdy wywoływano go z celi, dałem mu swój beret i kalosze, ponieważ był bez butów.

Na terenie więzienia przebywał też jako więzień polityczny lekarz - Leopold Bodek-Bielecki⁶, ze znanej lwowskiej rodziny księgarskiej. Przez kilka dni przebywał w naszej celi. Miał on pewną swobodę poruszania się, ponieważ gestapo wykorzystywało go jako pokazowego "lekarza więziennego", urządzając parodię wizyt lekarskich w celi. Wchodziło wieczorem dwóch gestapowców i lekarz w białym kitlu. Gestapowiec pytał kto jest chory i potrzebuje pomocy lekarza. Naturalnie nikt się nie zgłaszał. Jeśli nieorientowany zgłosił się, jeszcze w tym samym dniu był wywoływany z celi i już nie wracał.

Dr Bodek-Bielecki pomagał więźniom w miarę swych możliwości, przekazując im przeważnie środki uspokajające w tabletkach. Przemycał je znanym sobie sposobem do odpowiedniej celi. Mnie dostarczył przez "judasza" bromisol. Wszyscy mieliśmy nerwy mocno nadwyrężone.

Gdy po przesłuchaniach odwożono mnie do więzienia w oplotanym stanie i wrzucano jak worek do Krankenzelle, doktor odwiedzał mnie i zmywał moje rany wodą, co przynosiło znaczną ulgę. Opinia więźniów o

⁶ Prof. J. Węgiński ("W lwowskiej Armii Krajowej, Inst. Wyd. PAX, W-wa 1989) na str. 36 podaje: *Jednym z lekarzy więziennych przy ul. Łąckiego był dr Leopold Bodek ze znanej rodziny księgarzy lwowskich. Chociaż sam był więźniem i Żydem, miał jednak pewną swobodę poruszania się, a nawet wychodzenia do miasta. Dowiedział się, że przez Sadowskiego ps. "Wasył" (vel Lesława Lerskiego, szefa BIP-u Obwodu Lwów - przyp. red.) może uzyskać kontakt z konspiracją, zwrócił się do niego z propozycją, że za cenę zapewnienia bezpiecznego schronienia da mu zastrzyk wywołujący objawy podobne do charakterystycznych przy tyfusie. A to umożliwi skierowanie go do szpitala więziennego. Rzeczywiście w pierwszych dniach kwietnia Sadowskiego z "objawami tyfusu" przewieziono do szpitala przy ul. Zamarstynowskiej. Wkrótce przystąpiono do obmyślenia planów jego ucieczki. Dr Bodek został przekazany do oddziałów partyzanckich na Lubelszczyźnie i tam przetrwał okupację.*

tym lekarzu była pozytywna. Przywożonych po przesłuchaniach pilnował i starał się doprowadzić ich do ludzkiego stanu, choć byli nieprzytomni. Po wojnie odszukałem doktora i odwiedziłem go w prywatnym mieszkaniu w Grudziądzu. Opowiedział mi wtedy o swojej ucieczce z więzienia i dalszych swych losach w partyzantce na Lubelszczyźnie. Tu ograniczę się do krótkiej relacji.

Kazano pewnego razu wsiąść doktorowi do osobowego samochodu wraz z oficerem gestapo, który zajął miejsce obok kierowcy-podoficera SS. Na tylnym siedzeniu siedział doktor a obok niego leżała skrzynka rzekomej szczepionki przeciwtyfusowej. Doktor miał przeprowadzić szczepienie więźniów przy ul. Zamarstynowskiej, gdzie wybuchł tyfus. Podczas jazdy doktor stwierdził, że w ampułkach znajduje się formalina lub jakaś inna trująca substancja, która miała pozbawić więźniów życia. W pewnej chwili samochód zatrzymał się przy chodniku na wprost więzienia. Oficer wszedł do budynku, aby zarządzić otworzenie bramy. W tym czasie doktor poprosił kierowcę o papierosa i o pozwolenie wypalenia go na zewnątrz samochodu. Gdy kierowca z napięciem patrzył w bramę, doktor wbiegł mimo szalonego ruchu samochodów w swoim białym kitlu na jezdnię. Powstał straszliwy tumult, ryk klaksonów, posypały się przekleństwa niemieckich kierowców. Doktor szybko zniknął w bocznej uliczce, zrzucił z siebie kitel i zbiegł. Ukrywał się przez pewien czas u znajomych na Łyczakowie, później przerzucono go do oddziałów leśnych. W Lasach Janowskich przebywał od maja do czerwca 1943 r. w 9 pułku piechoty leg. Armii Krajowej. Miał ps. "Skiba". Po wyzwoleniu ujawnił się wraz z oddziałem. Zatrzymany został jednak przez Urząd Bezpieczeństwa i przebywał w obozie karnym, zdegradowany do stopnia szeregowca. (W partyzantce posiadał stopień majora). Po roku pobytu w obozie został zrehabilitowany, przywrócono mu stopień wojskowy i skierowano do Szpitala Garnizonowego w Grudziądzu na stanowisko ordynatora. Później otrzymał stopień podpułkownika. Zmarł po długotrwałej chorobie serca 29 lipca 1979 r., pochowany w grobowcu rodzinnym na cmentarzu katolickim w Rzeszowie. Każdego roku odwiedzałem jego grób, wdzięczny za pomoc jakiej doznałem od niego w więzieniu.

W celi wesoło nam nie było. W dzień i w nocy "wizyty" gestapowców z psami, szykany (np. wypędzanie w bieliźnie na korytarz podczas mroźnej zimy 1943 roku), wywożenie więźniów do obozów koncentracyjnych lub "na piasek" do Lesienic pod Lwowem - wszystko to doprowadzało nasze nerwy do granic wytrzymałości. A w więzieniu "na Łackiego" dobrany był zespół gestapowców - sadystów. Komendanci więzienia często zmieniali się. Był więc Obersturmführer SS Badikoff, później Hauptscharführer SS Quill. Był SS-man Martens, komendant oddziału kobiecego, bestia, który z SS-manką i psem wilczurem wizytowali cele nocą, nie szczędząc szpicruty. Według uzyskanych już po wojnie (niespraw-

dzonych) informacji, ów Martens był umyślowo chory i podczas jednego ataku szału wyskoczył oknem z budynku więzienia i zabił się. Byli w więzieniu jeszcze inni sadyści, jak Sturbannführer SS Tanneman i SS-man Kaiser.

Brakowało nam bardzo w więzieniu kontaktu ze światem zewnętrznym i z Ruchem Oporu. Dochodziły wprawdzie do celi kodowane grypsy, ale bez konkretnych danych o bieżącej sytuacji informacje te były dla nas mało czytelne.

Poprzez Polski Komitet Opieki nad więźniami - (RGO) - otrzymywaliśmy z zewnątrz raz w tygodniu krótkie informacje przy okazji dostarczenia nam przez Komitet gorącej strawy - zupy z soczewicy. Później gestapo dożywianie to całkowicie zlikwidowało, podobnie jak dostarczanie za pośrednictwem RGO chleba od rodzin, mimo że był on przez nie bez przerwy dostarczany. Zaczęliśmy wtedy odczuwać znaczny głód.

Duże podniecenie i zamieszanie pojawiło się wśród gestapowców na terenie więzienia, kiedy w pamiętny dzień 2 lutego 1943 r. wojska hitlerowskie zostały rozbite pod Stalingradem. Wiadomość ta dotarła również do cel. Tej i następnej nocy nie spaliśmy, ponieważ było bardzo zimno, a na korytarzach panował wzmożony ruch. Wyprowadzano ludzi z poszczególnych cel i wywożono w nieznaną. Z bijącym sercem oczekiwaliśmy wszyscy na otwarcie naszych drzwi i wywołanie nazwisk więźniów. Nikt nie wyobrażał sobie (ówczesnego) stanu naszych nerwów. W początkach lutego 1943 r. odszedł z Łąckiego duży transport więźniów do obozu na Majdanku. Z naszej celi także zabrano kilka osób, w tym wspomnianego już harcerza.

Omawiana w naszej celi ewentualna ucieczka nie miała żadnych szans powodzenia, ponieważ byliśmy całkowicie izolowani. Nie wyprowadzano nas nigdy na zewnątrz, tak jak więźniów kryminalnych przebywających z nami chwilowo, a wyznaczanych do robót porządkowych poza gmachem. Wychodziliśmy jedynie na przesłuchanie do głównej komendy gestapo na Pełczyńskiej, zawsze w dobranej asyście strażników, zakuci w kajdanki. W tej sytuacji całkowicie odpadało "cudowne" zniknięcie, zwłaszcza, że ulice którymi nas prowadzono nie były ruchliwe, a SS-mani dobrze uzbrojeni.

Bicie i szykany stosowane były w więzieniu także przez wachtowych, zwłaszcza w nocy. Pozwalali sobie na to w większym stopniu wachtowi-Ukraińcy (ale nie wszyscy), czując do Polaków nienawiść podsycaną przez Niemców.

Utrzymywaliśmy kontakt z sąsiednią celą i nawzajem przekazywaliśmy sobie posiadane wiadomości. Poprzez otwór wydrążony w ścianie tuż przy samej podłodze, prowadziliśmy rozmowy szeptem, wyłącznie w nocy. W tamtej celi byli również więźniowie polityczni, zaliczeni - jak i my - do grupy Widerstandsbewegung (ruch oporu).

Dzięki staraniom mojej żony i pomocy innych osób, po złożeniu okupu w dolarach gestapowcowi Sturbannführerowi SS Georgowi Kuntzowi z Pełczyńskiej, nastąpiło moje uwolnienie z więzienia 15 maja 1943 r. tuż przed transportem do Majdanka. Figurowałem już na liście wywozowej, o czym poinformował sam Kuntz oraz volksdeutsch, który był tłumaczem w czasie moich przesłuchań (b. student Uniwersytetu Jana Kazimierza). Po zwolnieniu z więzienia odwiedził mnie w domu. Jaki był cel tej wizyty - nie wiem. Rozmawiał o błażych sprawach przy herbatce, którą częstowała go moja Mama.

Jako główna osoba, pośredniczyła między Georgem Kuntzem a moją rodziną Polka, Karolina Korska, która pracowała we Lwowie jako ekspedientka w niemieckim przedsiębiorstwie handlowym. Po wojnie zamieszkała w Bytomiu, gdzie zmarła w 1948 r. Pomagała także Zofia Kurdyban ze Lwowa, Polka, koleżanka Korskich, która pośredniczyła między moją żoną a Korską. Po wojnie mieszkała w Bielsku-Białej. Kuntz poinformował Korską, że zostałem aresztowany na skutek inwigilacji mojej osoby przez niemieckie władze bezpieczeństwa. Później musiałem codziennie meldować się w komendzie policji przy placu Smolki i podpisywać specjalną listę. "Nadludzie" zniszczyli w więzieniu moje zdrowie. Po wojnie zaliczony zostałem do inwalidów I grupy. Jestem głuchy, mam uszkodzone serce i kręgosłup oraz objawy petit mal.

Interwencja o moje zwolnienie prowadzona była w jakiejś mierze także przez Franciszka Szulca, porucznika Kripo we Lwowie, członka partii hitlerowskiej (pracował jako kierownik wydziału gospodarczego Kripo). Przed wybuchem II wojny światowej Szulc pełnił obowiązki komendanta komisariatu Policji Państwowej w Czortkowie, w stopniu starszego przodownika. Pochodzę z Czortkowa, pracowałem tam jako cywilny urzędnik wojskowy w Rejonowym Inspektoracie Koni - D. O. K. VI. Sztab Lwów i dobrze znałem Szulca, spotykałem się z nim także służbowo. Znała go również moja żona. Muszę podkreślić, że Szulc podczas swojej służby (w latach 1926-39) w Policji Państwowej w Czortkowie cieszył się dobrą opinią zarówno społeczeństwa, jak przede wszystkim władz państwowych, w czym byłem dobrze zorientowany.

W sierpniu 1941 r. spotkałem go przypadkowo na placu Halickim we Lwowie. Poznał mnie, był bardzo uprzejmy i w czasie rozmowy zadeklarował swą pomoc. Wtedy chodziło o pomoc żywnościową. Był u nas w domu na pogawędce, w czasie której oświadczył, że jego żona i dzieci nie podpisały niemieckiej listy. Zrobił to tylko on sam, ponieważ od urodzenia czuje się Niemcem. Teraz otrzymał awans do stopnia porucznika i kierownicze stanowisko.

Kiedy mnie aresztowano, żona udała się do Szulca po radę i pomoc. Obiecał poczynić rozeznanie w sprawie, uprzedzając, że gestapo trzyma sprawy polityczne twardo w swoich rękach i sprawa jest trudna.

Był w stałym kontakcie z moją żoną, uspokajał ją i radził uzbroić się w cierpliwość.

Były zatem dwie oddzielne interwencje w mojej sprawie, które jednak nie dawały żadnej gwarancji skuteczności. Powiadomił mnie o nich również mój tłumacz z gestapo. Franciszek Szulc nie żądał żadnego wynagrodzenia za swoje starania, a po moim powrocie do domu odwiedził nas i bezinteresownie ofiarował nam trochę żywności.

c. d. n.

Stanisław Jastrzębski
Chorzów
(Wybór i red. I. Kotowicz)

Oko w oko z banderowcami **(Wspomnienia małoletniego żołnierza AK)** **Cz. XII (Wysiedlenie).**

Po zakończonej wojnie Sowieci postawili Polakom kresowym ultimatum: albo wyjazd do Polski (w nowych granicach) albo przyjęcie rosyjskiego względnie ukraińskiego obywatelstwa. Kto chciał, mógł nadal mieszkać w Stanisławowie, ale za cenę nowego obywatelstwa.

Niemniej propaganda sowiecka zachęcała do wyjazdu na Ziemię Odzyskane, gdzie na chłopów miała czekać ziemia i gospodarstwa opuszczone przez Niemców, dla wszystkich pozostałych praca i wyposażone mieszkania.

W taki oto sposób zostaliśmy wypędzeni z rodzinnej ziemi. Historia wypędzania Polaków zaczęła się znacznie wcześniej. Już w 1939 roku wysiedlali ich Sowieci masowo na wschód.

Ojciec mój czuł się Polakiem i o przyjęciu obcego obywatelstwa nie było mowy. Wielu mieszkańców przeżywało jednak głębokie rozterki, naradzali się, dyskutowali - jechać czy zostać?.

Państwowy Urząd Repatriacyjny (PUR) zaopatrzył nas w odpowiednie dokumenty. Do PUR-u należało także zapewnienie wysiedlanym transportu i wyżywienia na czas podróży oraz zapewnienie pracy i mieszkania w nowym miejscu osiedlenia. Bardzo różnie bywało jednak w praktyce z tymi zapewnieniami.

Z początkiem marca 1946 r. zostaliśmy umieszczeni na zbiorowych listach do wyjazdu za linię Curzona. Rozpoczęły się intensywne przygotowania do podróży. Ustaliliśmy, że pojedziemy w jednym wagonie z naszymi krewnymi Łotockimi.

W wyznaczonym dniu załatwiliśmy formalności związane z wyjazdem, a ja zdałem broń i zwolniłem się w milicji z Istr. Bat. Dzień był wyjątkowo smutny i wzruszający. Obiegnęłem jeszcze szybko miasto, po to tylko, by je takie zachować w pamięci na zawsze. Wydawało mi się wówczas, że nie ma piękniejszego miasta nad Stanisławów. Czy jeszcze kiedyś tu wrócimy?

W godzinach wieczornych, po załadowaniu naszego bagażu do bydłych wagonów nie przystosowanych do przewozu ludzi, byliśmy gotowi do odjazdu. Dopiero teraz pozostało nam trochę czasu na medytacje i snucie różnych przypuszczeń. Dokąd jedziemy? Gdzie rzuci nas los? Czy kiedyś tu wrócimy? Wszyscy w ponurym milczeniu myśleliśmy o tym samym.

Pociąg stał na rampie kolejowej jeszcze trzy lub cztery godziny. W pewnym momencie ojciec poprosił mnie i siostrę Bronisławę byśmy wyszli na chwilę z wagonu. Tu, wodząc dokoła szklanymi od łez oczyma powiedział, że udajemy się na tułaczkę, nie wiadomo na jak długą. Prawdopodobnie jednak opuszczamy Stanisławów na zawsze. Zostawiamy rodzinną ziemię, którą zrosili potem i krwią nasi dziadowie, zostawiamy groby najbliższych, zamordowanych niedawno przez banderowców. Zapamiętajcie to miasto na zawsze - dodał na koniec. Siostra nie powstrzymała łez i z przerażeniem patrzyła na ojca. Ja wodziłem wilgotnymi oczami po zabudowaniach dworca. Czułem, że teraz dopiero rodzi się moja miłość do Stanisławowa.

Ojciec wyciągnął z kieszeni białą chusteczkę i włożył do niej kilka grudek ziemi. Czynił to z namaszczeniem i powagą, a z jego oczu spływały łzy duże jak groch. Nigdy dotąd nie widziałem płaczącego ojca.

Istotnie żegnaliśmy tę ziemię. Ojciec przeżywał to bardzo mocno. Tu przecież przeżył większość swego życia i tu chciał je zakończyć. Dla niego nie był to zwykły kawałek ziemi. To część tradycji, do której należał, miasto jego młodości z którym wiązały go silne więzy. Tu ukończył polską szkołę zawodową, tu odbył służbę wojskową, a po uzyskaniu dyplomu przez kilka lat pracował, i stąd ruszył do obrony Lwowa w 1920 roku. A po zawarciu związku małżeńskiego przeniósł się do Bybły, rodzinnej wsi - na ojcowiznę. To ojciec wszczepił mnie i mojej siostrze Bronisławie głęboką miłość do Kraju, do Kresów i szacunek dla narodu.

Wróciliśmy do wagonu kiedy na dworze było już zupełnie ciemno, smutni i przygnębieni. Mama z młodszą siostrą czyniły przygotowania do kolacji przy małym stoliku. Widziałem, że mama była bardzo zdenerwowana, i starała się tego nie okazywać. W wagonie nie zapalano żadnego światła. Po kolacji siedzieliśmy obok siebie w ciemności i rozmawialiśmy. Tematem była nasza przeszłość, tragedia tej ziemi i jej mieszkańców. Ciągle wracaliśmy do pytania, na jak długo wyjeżdżamy? Czy powrócimy tu jeszcze kiedyś?

Pociąg ruszył nareszcie z dworca, wśród płaczu, pożegnań, modlitw i zapewnień że niebawem wrócimy. Stałem w otwartych drzwiach i patrzyłem na oddalające się miasto, a w głowie czułem dziwną pustkę.

W naszym wagonie panowało grobowe milczenie. Z innych dolatywał płacz kobiet i słowa pieśni "Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi". Mama zrobiła znak krzyża i modliła się cicho. A my patrzyliśmy w milczeniu na przesuający się krajobraz. Mieliśmy przed sobą podróż w nieznane. Nie wiedzieliśmy ani gdzie nas wiozą, ani jak tam będzie? Nie było nikogo, kto udzieliłby nam odpowiedzi.

Kilometr po kilometrze oddalaliśmy się od Stanisławowa i naszego dotychczasowego życia. Czy rzeczywiście na zawsze? Po drodze mijaliśmy duże transporty kolejowe załadowane urządzeniami fabrycznymi i materiałami budowlanymi. Szły na wschód, a na zachód jechały pociągi wyładowane wojskiem, choć wojna dawno się skończyła. Byłem bardzo zmęczony ale nie mogłem usnąć...

Mijaliśmy uśpione wsie i miasteczka. Ojciec z siostrą Bronisławą starali się po nazwach stacji rozszyfrować dokąd nas wiozą, a przynajmniej w jakim kierunku. Lwów minęliśmy bez zatrzymywania się. Zburzony w czasie działań wojennych piękny dworzec przedstawiał smutny widok.

Nową granicę polsko-sowiecką przekroczyliśmy w Medyce koło Przemyśla. Siostra Bronisława powiedziała wtedy głośno z głębokim westchnieniem: "Nasza ojczyzna, z krajobrazem Broczowy, Tronty i Bybelką zostały już daleko za nami". Stwierdzenie to spowodowało szloch Mamy oraz płacz ciotki i jej córek jadących w naszym wagonie.

Po krótkiej odprawie celnej i formalnym sprawdzeniu dokumentów przez Rosjan i Polaków, pociąg ruszył w dalszą drogę, a my siedzieliśmy jak skamieniali.

Jazda przerywana niekończącymi się postojami dawała się nam mocno we znaki. Minęliśmy Przemyśl, Tarnów i na dłużej zatrzymaliśmy się w Krakowie. Tu nareszcie nas poinformowano, że transport skierowany jest na Dolny Śląsk. Tylko tyle. Miejscowości nadal nie znaleźliśmy. Ponownie zatrzymywaliśmy się dziesiątki razy na stacjach przed semaforem, staliśmy długo na bocznych torach. Wtedy mogliśmy załatwić swoje potrzeby i czym prędzej wracaliśmy do wagonu, ponieważ pociąg mógł niespodziewanie ruszyć. Najbardziej dokuczył nam brak wody w ciągu całej podróży.

Gwizd lokomotywy oznajmiał, że zbliżamy się do jakiejś stacji. Pociąg wyraźnie zwalniał. Po tygodniu podróży wtoczył się w popołudniowych godzinach na peron Oleśnicy Śląskiej w woj. wrocławskim. Stacja była senna i bezлюдna, a miasto wyglądało na zburzone i przygnębiająco obce. Wskoczyliśmy z wagonu, bo wszyscy mieliśmy dość jazdy.

Na dworcu spotkaliśmy krewnych z naszej miejscowości - Mariana Jastrzębskiego z córką - którzy przyjechali tu kilka miesięcy wcześniej.

Namawiali nas na pozostanie w Oleśnicy, ponieważ transport kierowany jest do Szczecina, a tam sytuacja nadal jest niepewna. Nie wiadomo jeszcze, czy Szczecin zostanie w Polsce, czy zwrócony będzie Niemcom. W taki oto sposób dobrnęliśmy do miejsca nowego osiedlenia.

Przyszło nam zadomowić się pośród ruin i zgliszczy miasta spalonego już po zajęciu go przez wojska sowieckie. Większość mieszkań ogołocona została najpierw przez żołnierzy, a następnie przez szabrowników, którzy przyjeżdżali tu specjalnie w tym celu i całymi wagonami wywozili do centralnej Polski meble z mieszkań i zakładów pracy.

Nie byliśmy pierwszymi przybyszami. Mieszkali tu już lub osiedlali się dopiero ludzie wygnani z Małopolski Wschodniej, z Wołynia i Wileńszczyzny. Było też trochę Polaków z Polski Centralnej.

Trzeba nam tu było od nowa zasnuwać życie, co okazało się niezwykle trudne. Mieszkańcy stopniowo polonizowali miasto, i był w nim duch miasta kresowego, a mimo to przez długi czas utrzymywał się lęk przed powrotem Niemców.

Jak ciężko było początkowo, szczególnie rodzicom, przyzwyczać się do nowego miejsca. Wyrwanie ludzi w podeszłym wieku z ojczystej gleby jest pogwałceniem prawa człowieka. Rodzice przy każdej okazji wspominali, że tam, na Kresach zostawili swoje życie i pogrzebali wszystkie marzenia i plany. Wielu Zabużan, nie wyłączając mojego ojca wierzyło, że znaleźli się tu tylko chwilowo.

Urządzenie mieszkania zajęło nam wiele czasu. PUR przydzielił nam dwa pokoje z kuchnią prawie w centrum miasta, po niemieckiej rodzinie także przymusowo wysiedlonej. Mieszkanie to było jednak ograbione przez szabrowników. Brakowało nie tylko mebli, ale nawet drzwi i okien. A my nie przywieźliśmy ze sobą prawie niczego, ponieważ Rosjanie nie pozwalali zabierać do wagonu wszystkiego, zwłaszcza wyposażenia mieszkania. Ale chociaż mieszkanie było obce, po raz pierwszy usnąłem spokojnie i nie miałem koszmarnych snów. Otrzymaliśmy z PUR-u zapomogę pieniężną na pierwsze dni.

Tak więc początki w Oleśnicy były bardzo trudne, ale dla nas młodych życie zaczynało się stabilizować, odżywało na nowo. Poszliśmy przede wszystkim - jak przed wojną - do szkoły. Z czasem przywykliśmy do nowych warunków, ale nawet wtedy mieliśmy wszyscy poczucie doznanej krzywdy, za którą obwinialiśmy rząd komunistyczny, aliantów i Związek Radziecki.

Z czasem przestaliśmy żyć wyłącznie przeszłością. Nie zapomnieliśmy co prawda przeżytych wydarzeń, ale bolesne myśli nie ciążyły już tak bardzo. Wokół naszej rodziny wytworzył się krąg bliskich znajomych i przyjaciół, a moje własne życie zmieniło się zasadniczo.

Tylko ojciec pozostawał z całym bagażem własnych doświadczeń. Do końca życia nie pogodził się z utratą małej ojczyzny, żył nadzieją po-

wrotu, tęsknił, wciąż na coś czekał, czuł się dziwnie osamotniony, nic go tu nie cieszyło. Przy byle okazji zwierzał się, że został na starość zmuszony żyć i umierać poza granicami rodzinnego kraju. Nie widział tu dla siebie żadnych perspektyw, życie wydawało mu się emigracją, wygnanie to pogłębiło jego samotność i izolację, stąd brak zrozumienia dla otaczającego świata. Nic nie było w stanie zrekompensować mu bólu po odciętych korzeniach. Często ogarniała ojca tak silna tęsknota, że gdyby to było możliwe, natychmiast ruszyłby pieszo do swego miasta, do swojej wsi. Hołdował zasadzie, że gdzie człowiek się urodził, tam powinien umierać.

Niełatwa to była sprawa budować na ruinach nowe życie, które nie mogło być podobne do poprzedniego. Dopiero po latach zrozumiałem, że odczucia mego ojca były odbiciem krzywdy i poniżenia na skutek wygnania z własnego domu i przymusowego przesiedlenia na obce mu tereny. Aż do śmierci traktował ojciec Oleśnicę jako miejsce chwilowego pobytu i czuł się wygnańcem. Zmarł 15 października 1956 roku. Wraz z odejściem ojca zginęły resztki mego dzieciństwa...

“Fraza”⁷
Dzierżoniów

“Kryształowa Noc”⁸ w Kosowie w wigilię św. Iwana

*Relację poświęcam pamięci mojej Koleżanki
z ławy szkolnej - Slimce, Żydówce z
Romaszówki oraz Kolegom z tej samej
klasy - Mojżeszowi Preisnerowi
i Josyfowi Perlmutterowi.*

Do wsi Kosów w pow. czortkowskim, oddalonej 16 km od miasta, wojska niemieckie wkroczyły 6 lipca 1941 r. w sile jednego batalionu. Przybyli polnymi drogami na motocyklach i rowerach przystosowanych do zbrojnego ekwipunku.

Po przywitaniu zgotowanym przez ludność ukraińską i godzinnym odpoczynku, Niemcy ruszyli dalej w kierunku wsi Byczkowce, Skorodyńce i Tudorów, a przez Majdan do Kopyczyniec, by zablokować szosę z Czortkowa do Tarnopola po której poruszały się zdeorganizowane wojska sowieckie.

Już między 21 czerwca a 6 lipca miejscowi nacjonałiści ukraińscy opracowali taktykę wymordowania ludności żydowskiej w Kosowie. Wieś liczącą przed wojną trzy tysiące ludności, zamieszkiwali Polacy, Ukraińcy i Żydzi. Ci ostatni prowadzili tu działalność handlową i usługową. Posiadali siedem sklepów ogólnospożywczych, sklep z napojami spirytusowymi wraz z karczmą i trzy sklepy z materiałami tekstylnymi i skórzany-
mi. Do sklepów tekstylnych sprowadzali towar z Bielska i Łodzi. Oprócz tego świadczyli usługi dla ludności w warsztatach szklarskich i blacharskich. Jeden z Żydów znał się również na chorobach zwierząt gospodarskich, służył więc miejscowym rolnikom radą i pomocą w zakresie weterynarii.

Zgodnie ze swoją tradycją Żydzi spożywali głównie mięso drobiowe. Kupowali więc drób, nabiał i mleko u miejscowych gospodarzy, co było korzystne dla obu stron.

⁷ Nazwisko Autora do wiadomości redakcji.

⁸ Kryptonim akcji eksterminacyjnej Żydów rozpoczętej przez hitlerowców w nocy z 9/10 listopada 1938 r. (Przyp. red.)

Każdej soboty zbierała się społeczność żydowska w jednym z domów na modlitwę, którą kierował rabin. Po niej młodzież zbierała się razem i spacerując śpiewała żydowskie piosenki.

Do 7-klasowej szkoły powszechnej w Kosowie uczęszczali wspólnie Polacy, Ukraińcy i Żydzi. Ale lekcje religii prowadzone były odrębnie dla każdej z tych nacji i wyznania. Natomiast współżycie uczniów trzech narodowości nie sprawiało szkole żadnych trudności wychowawczych. W święta państwowe młodzież polska i ukraińska udawała się pod opieką nauczycieli w zorganizowanej grupie na Mszę św. do kościoła parafialnego w Chomiakówce, a następnie spotykali się wszyscy w Domu Ludowym w Kosowie, gdzie odbywał się dalszy ciąg oficjalnych uroczystości. Program realizowała młodzież szkolna, członkowie Związku Strzeleckiego, Staży Pożarnej i Stronnictwa Narodowego, które w Kosowie była silną organizacją, kierowaną przez dra Jana Bogdanowicza, syna właścicielki dużego majątku ziemskiego. W Domu Ludowym przedstawiciel gminy wygłaszał patriotyczne przemówienie, chór szkolny śpiewał pieśni, a wybrani uczniowie recytowali okolicznościowe wiersze. Po części oficjalnej Związek Strzelecki i Straż Pożarna organizowali rozrywki sportowe, zabawy i festyny.

W szkole przyjaźniłem się ze wszystkimi uczniami, bez względu na narodowość czy wyznanie, a szczególnie z dwoma Żydami z mojej klasy, którym pomagałem w nauce - Mojżeszem Preisnerem i Josefem Perlmutterem. Bliska była mi również moja konkurentka w nauce - Slimka, Żydówka z Romaszówki. (Nazwiska nie pamiętam).

Z chwilą wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej nacjonałiści ukraińscy nie próżnowali. Mieli już spore doświadczenie w zbrodniach popełnianych na Polakach w okresie pierwszych tygodni po wkroczeniu sowieków (17 września 1939 r.) na nasze ziemie. Teraz snuli w Kosowie swoje plany przypodobania się Niemcom przez wymordowanie miejscowych Żydów oraz kilku rodzin żydowskich w Chomiakówce, Romaszówce i Rydodubach.

Plany te zrealizowali w noc poprzedzającą święto Iwana. O północy każdy żydowski dom w Kosowie otoczony został ukrytymi bojówkami OUN, przydzielonymi do zamordowania danej rodziny. Sygnałem do rozpoczęcia zbrodni było podpalenie stodoły Abruma Schwarza w centralnej części wsi. Aby nie wywołać paniki, bojówki posłużyły się najbliższymi sąsiadami - Ukraińcami, którzy budzili Żydów rzekomo z powodu pożaru we wsi. Żydzi ufali najczęściej swoim sąsiadom i otwierali im drzwi, a wtedy bojówki wdzierały się do środka i mordowały domowników przy pomocy siekiery, wideł czy noży. Następnie rabowały cenniejsze przedmioty. Resztę dobytku zrabował już w jasny dzień - 8 lipca - ukraiński motłoch. Wyciągał spod zamordowanych ciał zakrwawione pierzyny, poduszki i kołdry i zanosił je do swoich domów. Później zwłoki ofiar zrzu-

cono jak kłody drewna na furmanki i wywieziono do przygotowanych wcześniej dołów na polu między Kosowem a Romaszówką.

Najbardziej "napracował się" w tej akcji Michał Krawiec, którego matka skarżyła się (czy przechwalała?) przed spotkanym Wincentem Markiewiczem⁹ - *Mój syn Michał bardzo jest zmęczony po tym wielkim wysiłku likwidowania kosowskich Żydów.*

Oprócz Krawca, dzielnie spisywali się przy mordowaniu Żydów: Semko Wdowcyn, Hnat, bracia Moroz, Dyśko Wasylkiw (Pszyk), Wołodymyr Szymkiw, T. Skoryj, Iwan Czornyj i wielu innych szowinistów.

Niektórym Żydom udało się z pogromu uciec. Uciekli np. Szmiłka Fajngold z bratem i ukryli się w kukurydzy na polu. Nocą podeszli do swojego domu na skraju wsi od strony Chomiakówki, by zorientować się co się stało z rodziną i zaopatrzyć się w żywność. Nie wiedzieli, że dom był pod ścisłą obserwacją banderowców. Gdy to spostrzegli, zaczęli uciekać w stronę Chomiakówki. Banderowcy ruszyli w pogoń. Scenę tę widziało kilkoro Polaków z sąsiednich zagrod. Wybuchła strzelanina. Z relacji świadków wynikało, że najszybszym był banderowiec Semko F., który śmiertelnie postrzelił Szmiłkę. Pozostali banderowcy byli podpici i strzelali niecelnie. Szmiłka padł w kartoflisku, a jego bratu udało się uciec do Czortkowa.

Następnego dnia rankiem - relacjonuje kol. Marian Woźniak - moja Matka Honorata wybrała się do Kosowa, aby dowiedzieć się co się tam wydarzyło. Idąc ścieżką na skróty, zobaczyła leżącego w kartoflisku człowieka. Były już tam dwie kobiety z Kosowa i razem rozpoznały Szmiłkę Fajngolda. Te właśnie Polki opowiedziały mojej Matce całe wydarzenie, którego były świadkami. Matka zaraz wróciła do domu wstrząśnięta tym morderstwem i opowiedziała domownikom co widziała i czego się dowiedziała.

Do domu Fajngoldów nie udało się banderowcom dostać nocą i dopiero rankiem - 8 lipca - wyważyli drzwi, mordując w pierwszej kolejności mężczyzn. Ryfka Fajngold wyrwała się jakoś oprawcom i uciekła do sąsiada Polaka - Pawła Zarównego. Dopadł ją tu na progu Serban i zadał śmiertelny cios siekierą.

Spod wideł czy siekiery uciekli też Buzio i jego ojciec Moszko. 22-letni Buzio ukrywał się około dwóch tygodni pod Marcinówką (Wojciechówką)¹⁰ koło Buczacza. Marcinówka - była to kolonia zamieszkała w większości przez Polaków. Rolnik tutejszy, Kazimierz Piotrowski zwrócił uwagę, że jego kury zbyt szybko zjadają wsypywane do koryt otręby i gotowane ziemniaki. Pewnego dnia zauważył czołgającego się do koryta

⁹ Żołnierz AK, ps. "Świerk". (Przyp. Autora).

¹⁰ Około 1935 roku miejscowość Wojciechówka otrzymała nową nazwę Marcinówka i taką nosi też obecnie (oczywiście w brzmieniu ukraińskim). (Przyp. red.).

człowieka i rozpoznał w nim Buzia z Kosowa. Od tego czasu codziennie przynosił mu jedzenie w umówione miejsce.

U p. Piotrowskiego przebywał wówczas 11-letni krewniak z Kosowa Ferdynand Pająk. Któregoś wieczoru chłopak późno wrócił do domu i nie chcąc budzić gospodarza poszedł spać na strych, na sianie. Gdy posłyszał obok chrapanie, poświecił latarką i rozpoznał swego sąsiada z Kosowa. Wczesnym rankiem Buzio ponownie ukrył się w zbożu na polu.

Banderowcy byli dobrze zorientowani, którzy Żydzi im uciekli i robili na nich w polu zasadzki. Któregoś dnia schwytali Buzia i przywieźli go z Marcinkówki do Kosowa. Z relacji Ferdynanda Pajaka wiadomo, że konwojowało go na furmance czterech Ukraińców z karabinami gotowymi do strzału. Buzio miał ręce skrępowane kolczastym drutem i taką na głowie "koronę". Zakrwawioną ofiarę obwozili kaci po całym Kosowie, a w końcu Buzia zabili. Kilka dni później pojawił się we wsi jego ojciec, Moszko. Zobaczył go Ukrainiec Paweł Moroz i zabił motyką.

Przebywając w czerwcu 1942 roku w tych okolicach, tj. między Marcinówką, Romaszówką i Kosowem, zwróciłem uwagę na drabiniaste furmanki wyładowane jakimiś bagażami, na których siedzieli ludzie. Następnego dnia podobne furmanki przejeżdżały z Buczacza - przez Marcinkówkę - w stronę Kosowa. Poszedłem zbożami w pobliże drogi i stwierdziłem, że kilku furmanów pochodziło z Kosowa, a pozostali to byli jacyś obcy. Na wozach wypełnionych bagażami siedzieli Żydzi. Jako dociekliwy 14-latek rozpytywałem dokąd wiozą tych ludzi polnymi drogami. Od Ukraińca, którego rozpoznałem jako furmana dowiedziałem się, że przesiedlają Żydów z getta buczackiego do lasu jabłonowskiego koło Kopyczyniec.

Przewożenie Żydów trwało - jak pamiętam - dwa tygodnie. Furmanami byli wybrani Ukraińcy z sąsiednich wiosek: Wierzbowiec, Zwiniacza, Byczkowiec i innych. W kolumnie, strzeżonej przez ukraińską policję, znajdowało się po 20 furmanek, a na każdej z nich siedziało po 5-6 osób. Z moich wyliczeń wynika, że przewieziono w tym czasie ponad 1500 osób. Co z nimi zrobiono? Gdzie ich uśmiercono? Do dziś nie wiem¹¹.

Po 55 latach doszły do mnie następujące informacje:

Po ponownym wkroczeniu wojsk sowieckich na Podole w 1944 roku Wincenty Markiewicz oraz kilku innych Polaków z Kosowa otrzymało zezwolenie od dcy plutonu AK Pawła Michaliszyna, ps. "Ryszard" na wstąpienie do Polskiej Samoobrony (Istrieb. Batal.). Kiedy front w czerwcu 1944 r. przesunął się na linię Białobożnica - Słobudka Dżuryńska - Buczacz, zgłosił się do Armii Czerwonej Żyd, który wskazał miejsce po-

¹¹ O tragedii Żydów z Buczacza w gettcie i lasach k. Kopyczyniec można wiele dowiedzieć się z publikacji Jerzego J. Szewczyńskiego pt. "Nasze Kopyczyńce", wyd. Heldruk, Malbork 1985. (Przyp. red.).

chówku swoich zmasakrowanych współbraci. W tym czasie mieszkańcy przyfrontowych okolic zostali ewakuowani za rzekę Seret. W Kosowie oprócz Sowietów pozostało kilku Polaków z Samoobrony, którzy wyłapywali ukrywających się banderowców. Ci właśnie banderowcy oraz pozostali we wsi Ukraińcy wygrzebywali rękoma z różnych dołów - pod nadzorem sowieckich żołnierzy - zwłoki pomordowanych Żydów i składali je w jednej wspólnej mogile.

Jest to autentyczna historia zagłady Żydów w Kosowie w liczbie 82 osób oraz części Żydów z Buczacza. Zamordowani zostali bez udziału Niemców, wyłącznie rękoma ukraińskich nacjonalistów spod znaku Banderdy.

Ciekaw jestem, co powiedziałby na ten temat Szymon Wiesenthal - Żyd rodem z Buczacza, tropiciel faszystowskich morderców swoich pobratymców, ale tylko Niemców. A co z mordercami ukraińskimi? A tam, na tych dołach zwanych "Zające" leżą może zwłoki jego krewnych...

Może dowie się o tym rabin Weiss, który tyle szumu narobił na temat krzyża w Oświęcimiu. A tam, na wspólnej mogile Żydów kosowskich i buczackich pasą się teraz krowy. Nie ma ani krzyża ani gwiazdy Dawida...

A były poseł Unii Wolności Jacek Kuroń, który dla usprawiedliwienia mordów ukraińskich nacjonalistów (z formacji OUN-UPA) na Polakach wydumał historyjkę, że była to wojna polsko-ukraińska?

Panie Kuroń! Czy mordowanie kosowskich i buczackich Żydów to była wojna żydowsko-ukraińska?

Podobnie fałszywą historię o mordach ukraińskich faszystów forsuje także była posłanka Unii Wolności Maria Dmochowska, która z ofiary robi kata i odwrotnie. Na jednym z posiedzeń sejmowych stwierdziła, że Polacy z Oddziałów Samoobrony mordowali cywilną ludność ukraińską!

P. S. O wydarzeniach w Kosowie (na str. 190 przyp. 33 w publikacji ks. J. Anczarskiego "Kronikarskie zapisy z lat cierpień i grozy w Małopolsce Wschodniej 1939-1946", Kraków 1996 r.) ks. Józef Wereta w relacji swojej podaje: *Wtenczas padło około 115 osób*. Rozbieżność między liczbami zamordowanych Żydów podanymi przez ks. Weretę i przeze mnie spowodowana została tym, że ja nie uwzględniłem wówczas osób zamordowanych w sąsiednich miejscowościach, a jedynie w Kosowie.

Warszawa

A to działo się w Chomiakówce (pow. czortkowski)

Przedstawione przez "Frazę" wydarzenia w Kosowie i Chomiakówce po wkroczeniu Niemców na te tereny - całkowicie potwierdzam. Częściowo jako naoczny świadek, częściowo w oparciu o relacje innych wiarygodnych świadków. Wieści o dokonywanych przez nacjonalistów ukraińskich zbrodniach, w tym na ludności żydowskiej, rozchodziły się po całej okolicy.

Dla uwypuklenia relacji "Frazy" pragnę dorzucić od siebie trochę szczegółów. W owym czasie mieszkałem z rodziną w Chomiakówce, którą dzieliła od Kosowa płynąca w jarze Młynówka - dopływ Białej. Chomiakówkę zamieszkiwało ponad 300 mieszkańców, głównie Polaków, w tym także trzy rodziny ukraińskie i dwie żydowskie.

Około 1937 roku osiedliły się we wsi dwie nowe rodziny, które wynajęły tu mieszkania i wydzierżawiły jeden z trzech, niewielkich młynów wodnych, zbudowanych we wsi już dawno. Jedna z tych rodzin była ukraińska, druga obnosiła się ze szlacheckim pochodzeniem polskim. W poprzednim miejscu zamieszkania należała podobno do Związku Szlachty Zagrodowej. Składała się z ojca, jego konkubiny i dorosłego syna Stanisława Szeptyńskiego. Z biegiem czasu okazało się kim byli naprawdę, zwłaszcza jakim draniem był Stanisław.

Kiedy w 1939 roku wkroczyli do Polski sowieci, Szeptyńscy zmienili nagle nazwisko i odtąd zwali się Szeptyńskij. Młody Stanisław założył na rękaw czerwoną opaskę głosząc, że byli i pozostali nadal ukraińskimi komunistami. Chodził po wsi z drugim Ukraińcem (z zarekwirowanymi u miejscowych myśliwych dubeltówkami) i wypatrywali powracających z wojny do domu żołnierzy polskich. Kiedy uformowała się już władza sowiecka, młody Szeptyńskij zaczął zakładać młodzieżową organizację bolszewicką - komsomoł. Zmuszał młodzież polską, która ukończyła 18 lat, do bezapelacyjnego uczestniczenia w zebraniach komsomołu. Chcąc nie chcąc, zbierała się więc młodzież wieczorami w komsomolskim klubie, który mieścił się na piętrze pałacu należącego przed wojną do pani J. Horodyskiej, a zbudowany został w XIX wieku staraniem hrabiego Podleskiego. (Hrabia był również fundatorem kościoła parafialnego w Chomiakówce).

Pałac ten, usytuowany na skraju wsi na wysokim wzniesieniu, otoczony był przepięknym parkiem, w którym rosły wiekowe dęby, kasztany, lipy, graby oraz wiele innych rzadko spotykanych drzew. Górował ponad ich koronami nad całą okolicą.

Wspomniane zebrania prowadził S. Szeptyńskij jako przewodniczący komsomołu. Wychowana w duchu patriotycznym młodzież polska, nie bacząc na okoliczności, śpiewała głośno przy otwartych oknach polskie pieśni: „Rotę”, „Jak długo w sercach naszych”, „W krwawym polu srebrne ptaszę” i inne tego rodzaju. Intonowały je zawsze moja siostra Hanka i jej przyjaciółka, Zosia Gardzielikówna¹². Obie dysponowały piękną barwą głosu. (Większa część tej młodzieży śpiewała w chórze kościelnym).

Pieśni te rozchodziły się w wieczornej ciszy szeroko, niczym fale, nie tylko w kotlinie Chomiakówki. Docierały też do pobliskiego Kosowa, a echo niesło je przez pola nawet do Rydodub, odległych o trzy kilometry. Wielu mieszkańców wychodziło przed swoje zagrody by posłuchać tego śpiewu, w którym szczególnie wyróżniały się słowa refrenu akcentowane dużym natężeniem głosów: „Ucha, duch gra, niechaj Polska zna, jakich synów ma!” Nawet ksiądz proboszcz z wikarym wychodzili na ganek plebanii żeby posłuchać śpiewu młodzieży.

Zapamiętałem, że jako 13-latek wyszedłem pewnego wieczoru do przydomowego sadu, w którym siedzieli na ławce rodzice, oboje zasłuchani w refren pieśni śpiewanej niegdyś przez nas w szkole: „Stać będzie kraj nasz cały, stać będzie Piastów gród, zwycięży Orzeł Biały, zwycięży polski lud”. A po chwili: „Nie damy by nas gnębił wróg, tak nam dopomóż Bóg!” W blasku księżycy dostrzegłem wówczas łzy w oczach Ojca i zapłakane oczy Matki.

Taki śpiew miał ten pozytywny skutek, że podnosił ludność polską na duchu.

Początkowo Szeptyńskij tolerował te „polskie koncerty” udając, że mu nie przeszkadzają. Może nie chciał zrażać do siebie młodzieży. Po kilku tygodniach zażądał jednak zaprzestania śpiewania polskich pieśni patriotycznych tłumacząc, że otrzymał takie rozporządzenie od władz. Uprzedził, że nierespektowanie zakazu może źle się zakończyć. Przyniósł teksty piosenek radzieckich (z ich zakłamaną ideologią), których młodzież miała się wyuczyć. Ale młodzi ignorowali te zakazy i nadal śpiewali polskie piosenki, tyle że ludowe czy miłosne, a w końcu też jakąś „Katuszę”.

Nadszedł 21 czerwca 1941 r., dzień ataku Wehrmachtu na Związek Radziecki. Już po dwóch tygodniach Niemcy opanowali nasze tereny. A przewodniczący komsomołu, komunista Stanisław Szeptyńskij zmienił równocześnie czerwoną opaskę na żółto-niebieską, na czapce zaś umieścił ukraińskie godło - tryzub. Przy tym z wielką butą oznajmił wszystkim, że od dawna jest ukraińskim nacjonalistą i członkiem OUN. Od czasów okupacji sowieckiej mieszkał na skraju parku, w domu

¹² Obie były później łączniczkami w AK.

opuszczonym przez służbę folwarczną, przy drodze łączącej Chomiakówkę z Kosowem. (Ma to znaczenie dla późniejszych wydarzeń).

Jak już wspomniałem, mieszkały w naszej wsi dwie rodziny żydowskie. Głową jednej z nich był Dyjumen Perlmutter, właściciel pierwszego z trzech młynów. Obsługiwał go Polak, Stanisław Michalski¹³. Właściciel młyna mieszkał w swoim domu na wzgórzu, z żoną imieniem Hyncia. Oboje byli już w zaawansowanym wieku. Drugą rodziną żydowską było małżeństwo w średnim wieku: mieli na imię Josyf i Fajga, której córka Lunka uczęszczała ze mną do tej samej klasy. Była to skromniutka dziewczyna, lubiana przez wszystkich uczniów. Jej rodzice prowadzili przed wojną sklep spożywczy.

W nocy z 6 na 7 lipca 1941 r. - 0 czym pisze "Fraza" - banderowcy przystąpili do pogromu Żydów w Kosowie. Rankiem następnego dnia rabin żydowski nazwiskiem Major - uciekał drogą wiodącą z Kosowa do Chomiakówki. Może miał nadzieję, że uda mu się ukryć wśród tamtejszych Polaków. W odległości 100 - 150 metrów gonił za nim banderowiec z Kosowa. Gdy rabin dobiegł na skraj parku w Chomiakówce, wypadł z domu Stanisław Szeptyński z żółto-niebieską opaską na ramieniu oraz motyką do pielenia roślin w rękę, i puścił się w pogoń za Żydem. Dopadł go w pobliżu reprezentacyjnej bramy wjazdowej do pałacu (zbudowanej jeszcze za czasów hr. Podleskiego). Rabin, widząc nieuniknioną śmierć, począł przeraźliwie krzyczeć i wzywać pomocy. Wówczas Szeptyński z zimną krwią zaczął walić go ostrzem motyki po głowie, dopóki ofiara nie upadła na ziemię. Dobiegł wtedy drugi banderowiec i obaj masakrowali dalej leżące ciało.

W tym czasie wracała od synowej moja babcia Anna Woźniak i słysząc przeraźliwe krzyki mordowanego człowieka, zbliżyła się wraz z kilkoma innymi osobami do miejsca kaźni. Na ten potworny widok doznała szoku, krzycząc głośno: *Bandyci! Mordercy!* - Ci wówczas odeszli od zwłok i udali się do pobliskiego domu Perlmuttera, zabierając go wraz z chorowitą żoną do Kosowa. Tam, w folwarcznej stajni, do której inni banderowcy doprowadzali złapanych Żydów, zabili ich wszystkich, a zmasakrowane zwłoki wywieźli poza wieś i zakopali w ziemi, jak podaje "Fraza".

Gdy babcia wróciła do domu, długo nie mogła dojść do siebie, powtarzając w płaczu: *Bandyci! Mordercy! Kaci niewinnych ludzi!* Niebawem nadeszła z Czortkowa tragiczna wieść o zbrodni dokonanej na OO. dominikanach przez wycofujące się NKWD oraz o masakrze ponad 600 więźniów w czortkowskim więzieniu. Babcia, która była głęboko religijną osobą, tak bardzo przejęła się tym wszystkim, że zachorowała i w niedługim czasie odeszła z tego świata. Umierając prosiła, żeby modlić się

¹³ Zamordowany przez UPA w 1946 roku w Białym Potoku.

za wszystkich mordowanych ludzi, jakby przeczuła los, który niebawem zgotowali zbrodniarze z UPA setkom tysięcy ofiar na tej ziemi kresowej Polakom, a także wielu Ukraińcom, którzy tych zbrodni nie akceptowali.

I jeszcze kilka zdań o losie Josyfa, Fajgi i Lunki. Dom ich znajdował się naprzeciw domu Perlmutterów, ale po przeciwległej skarpie jaru, za rzeką. Gdy usłyszeli krzyk katowanego rabina i zobaczyli banderowców wyprowadzających Perlmutterów, opuścili pospiesznie dom i skryli się na pobliskich polach w wysokiej kukurydzy. Wieczorem usłyszeliśmy ciche pukanie do okna. Ojciec wyszedł z domu i w ciemności dojrzał Josyfa, który prosił o żywność. Uciekając w pośpiechu, niewiele mogli ze sobą zabrać, a dom ich natychmiast zajęty został przez ukraińską rodzinę, tę właśnie, która przybyła tu z Szeptyńskimi przed paru laty. Matka moja przygotowała bochen chleba, trochę sera, masła i mleka, a ojciec wyjął z komina kawałek wędzonej słoniny. Zaproponował Josyfowi, żeby przemocowali w naszej stodole na sianie, ale oni chcieli jeszcze tej samej nocy dostać się polami do Czortkowa. Josyf pochodził z Czortkowa i miał tam rodzinę. Przed kilku laty ożenił się w Chomiakówce z wdową Fajgą, i szybko wrósł w środowisko tutejszych rolników. W niedzielę wkładał na siebie elegancki garnitur, krawat i razem z Polakami uczestniczył w popołudniowych imprezach czy biesiadach. Był za to lubiany i szanowany. W Czortkowie żyli jakiś czas spokojnie, dopóki Niemcy nie stworzyli getta. Tam bowiem - jak wszędzie - dokonali później zbrodniczej akcji likwidowania Żydów przez specjalny oddział SS-manów i ukraińskiej policji. Najprawdopodobniej w jednej z tych akcji zginęła też rodzina żydowska z Chomiakówki.

A co działo się ze Stanisławem Szeptyńskim, bohaterem "mokrej roboty"? Nikt we wsi nie chciał z nim po tym wszystkim rozmawiać, omijano go. Wówczas nieco przycichł, nie nosił już żadnych opasek ani tryzuba, rzadko go we wsi widywano. Może "działał" na innym terenie? A gdy w początkach marca pojawiły się sowieckie patrole, Szeptyńscy zniknęli z Chomiakówki bez śladu.

Niebawem nadeszła regularna Armia sowiecka i front - aż do czerwca - zatrzymał się kilka kilometrów na zachód od Kosowa. W maju ogłoszono mobilizację dla Polaków - do Armii Polskiej, dla Ukraińców - do Armii Czerwonej. Wówczas komunista ukraiński vel nacjonalista z UPA Stanisław Szeptyńskij uległ kolejnej metamorfozie - i jako Polak znalazł się w Wojsku Polskim. Rozpoznał go na froncie jeden z żołnierzy z Chomiakówki, ale tamten zorientował się i natychmiast zniknął mu z oczu. Po wojnie różne pogłoski krążyły na temat Szeptyńskiego. A to, że był gdzieś na Śląsku w milicji, a to że w UB. Jest również prawdopodobne, że zwiął na zachód. Rozesłane bowiem listy gończe i poszukiwania nie dały rezultatu.

Natomiast ojciec Stanisława powrócił z konkubina prawdopodobnie

nie do dawnego miejsca zamieszkania w pow. borszczowskim. I choć z pewnością nie był już członkiem Związku Szlachty Zagrodowej, został w kołchozie być może pastuchem zagrodowej trzody.

Relację tę poświęcam pamięci mojej Koleżanki szkolnej - LUNCE, zamordowanej w czortkowskim getcie, oraz moim dwunastu Kolegom z Polskiej Samoobrony (Istrieb. Batal.), którzy w grudniu 1944 r. zostali zastraczeni przez bandy UPA w miejscowości SKOMOROSZE. Poddali się, gdy zabrakło amunicji i w pobliskim lesie zostali zamordowani siekierami. Tylko jednemu udało się stamtąd zbiec. Nazywał się Piotr Melnik.

Jan Raniczkowski
Wymiarki

Urodziłem się w Kamieńcu Podolskim (Wspomnienia) Cz. X

W toku spisywania tych wspomnień rozmyślałem nieraz, dlaczego Mamusia nigdy nie chciała rozmawiać z nami o swojej rodzinie i rodzinie ojca z Kamieńca Podolskiego. Tą przeszkodą był ojczym.

Ojczym często niekorzystnie wyrażał się o rodzinach szlacheckiego pochodzenia np. o Suszyńskich i Muszyńskich ze swojej wsi Łysogórka (na radzieckiej Ukrainie). Opowiadał, jak to nie chcieli pracować i była tam taka bieda, że on - chłopski syn - przynosił im nieraz kawałek chleba. Nie przypuszczał, że prawda wypłynie kiedyś na wierzch jak oliwa.

Suszyńskich i Muszyńskich wywieźli sowieci w latach 30-tych wraz z innymi Polakami na Sybir. Mężczyźni dostali się później do polskiego wojska, a po wojnie - jako kombatanci - mogli przyjechać z rodziną do Polski. Te dwie rodziny osiedliły się pośrodku lasu we wsi Lubartów, niedaleko Wymiarek.

Poszedłem w jakiejś sprawie do emerytowanej pani nauczycielki z Borek Wielkich (koło Tarnopola) i spotkałem się ze Stanisławem Suszyńskim.

- *A skąd ty znasz tę panią?* - zapytał.
 - *Moi teściowie pracowali kiedyś na polu na tysej górcie według umowy "na wpół": połowę snopków po żniwach zabierali teściowie do Romanówki, a drugą połowę zabierała p. nauczycielka do Borek Wielkich.*
 - *Toż i ja z Łysogórki!* - wykrzyknął uradowany Suszyński.
- Powtórzyłem parę razy w zamyśleniu: *Łysogórka... Łysogórka... i*

przypomniałem sobie skąd znam tę nazwę.

- *Mój ojczym też pochodzi z Łysogórki* - powiedziałem.
- *A kto to?* - spytał Syszyński
- *Mikołaj Gorbatiuk.*
- *To on żyje?* - zdziwił się mój rozmówca.
- *Tak, mieszka w Opolu.*
- *Powiedz mu, żeby przyjechał do mnie.*
- *Dobrze, napiszę do nich.*

Po otrzymaniu mego listu ojczym odpisał, że przyjedzie. Mamusi wykrętnie tłumaczył, że pojedzie sam, ponieważ nie wiadomo w jakich warunkach żyją teraz Suszyńscy.

Nie uprzedzałem państwa Suszyńskich ani Muszyńskich o naszej wizycie. Poszliśmy do nich pieszo, przez las. Weszliśmy do dużego, zasobnego gospodarstwa. Sprzęt rolniczy pod szopą, zwierzęta w oborach, dom duży murowany, podwórze czyste. Weszliśmy do domu. Po jednej i drugiej stronie obszernego korytarza pokoje, a schody prowadzą na pięterko.

Zapukałem. Poproszono, wchodzę, za mną ojczym. Podeszedł do Suszyńskiego i zagaił z przechwałką po rusku: *Widisz Sasza, ja siebie wziął gorodsku szlachcianku.*

Na pięterku pani Suszyńska obsługiwała klientów w pomocniczym sklepiku gminnej spółdzielni. Gdy kupujący wyszli, poskarżyła się trochę urażona: - *Oni mówią, że ja Ukrainka, Żeby to tam w domu było, nie weszliby nawet do naszej szlacheckiej sali. Mikołaj wie, bo i on nie mógł wchodzić. Tylko jego ojca wpuszczaliśmy, bo był kościelnym w łysogórskim kościele.*

Gdy zeszliśmy na dół, ojczym przywitał się z gospodynią, a potem wciąż wypytywał kto jeszcze jest tutaj z tamtych zazbruczańskich stron. Opowiedział też o liście swojej siostry ze Spiczyniec, w którym napisała: *My sgoireli, no ognia nie było i piepietu niet! Wiadomo!* Większość czujących się Polakami wywieźli sowieci na Sybir, a "bataków" zapędzili do kołchozu. Suszyński zaś opowiadał, że kiedy dali mu w wojsku przepustkę dla odwiedzenia rodziny w Łysogórcie, to radość na widok żołnierza w polskim mundurze była ogromna ale i smutek, bo nie mieli go czym przyjąć. (Ojczyma bardzo te słowa ucieszyły). Ale żołnierz miał ze sobą polski chleb i konserwy, i on rodzinę ugościł. Musiał jednak szybko wracać z powrotem, aby zastać jeszcze swoją jednostkę na miejscu.

Czas u Suszyńskich miło i szybko uciekał. Cała rodzina zachowała jeszcze nasz luby podolski akcent. Przyjęli nas gościnnie i bogato: bryła masła na stole, własne wędliny i inne domowe przysmaki, piwo, wódka. Przybyli zaciekawieni sąsiedzi i usłyszeli, że Suszyńscy i Muszyńscy pochodzą z polskich rodzin szlacheckich z Zbrucza. Później gospodarz założył konie do bryczki i odwiózł nas do Wymiarek.

W jakiś czas potem spotkałem w sklepie Suszyńskiego. Pytał, co ojcym pisze. *Jest zaskoczony* - powiedziałem szczerze - *że tak dobrze się teraz macie, bo w Łysogórcie biedowaliście i on wam pomagał.*

- *Ależ to wierutne kłamstwo* - oburzył się Suszyński. - *Było wręcz odwrotnie. To byli prości ludzie ze wsi i to my im podrzucaliśmy jedzenie, ponieważ ojciec ich był naszym kościelnym.*

I tak przez przypadek ujawniła się prawda. Napisałem o tym mając na myśli przysłowia, że góra z górą się nie zejdzie... oraz że kłamstwo ma krótkie nogi.

Teraz w Lubartowie pozostało tylko sześć gospodarstw, a Suszyńscy i Muszyńscy już nie żyją.

* * *

Odwiedziła nas niedawno w Wymiarkach Jolanta, córka bratanka ze Strzelec Opolskich. Pokazałem jej nr 31 "Głosów Podolan". Jola przeczytała głośno córeczce zamieszczone w nim moje wspomnienia. Chcą mieć teraz swoje własne egzemplarze i poznać ciąg dalszy.

- *A jak stryjek zakończył wojnę?* - pytają.

Zacząłem opowiadanie od momentu forsowania Odry w Słubicach i gonieniu Niemców, żeby wojna jak najszybciej się skończyła i można było wejść do Berlina. Niestety, tuż przed Berlinem "Ruscy" nas zatrzymali, powtarzając tę samą piosenkę: *Was maleńko, nas mnogo, my pajdiom pierwyje.* A nam dowództwo nakazało okrążanie Niemców. Złościliśmy się, ale byliśmy bezsilni. (Gdy Berlin poddał się, nasz sztandar jednak pierwszy znalazł się na Reichstagu).

Szliśmy więc nadal w stronę Łaby. A w lesie, już za następnym wąwozem, byli Niemcy; należało ich otoczyć. Idzie pierwsza drużyna i moja. - *Za mną! Kto na ochotnika?* - zawołał dowódca, i nie oglądając się ruszył, a za nim pobiegli wszyscy. Został przy mnie tylko mój wierny żołnierz Młyński. A tu zza górki wybiega dwóch Niemców. Skierowaliśmy na nich swoje pepesze. Słychać także strzały z przeciwnej strony, i już ranny został w oba ramiona dowódca plutonu. Zobaczyłem, że nasi się cofają. Nie widzę mego zastępcy - kaprała, Młyńskiego też nie ma. Biegnę na pole walki. Mierzy do mnie Niemiec. Ległem pod cieniutką sosenką. Pada strzał. Unoszę lekko głowę i kieruję pepeszę na nieprzyjaciela. Trzymając w obu rękach swój "giwer", zniknął nagle za górką. Doleciały do mnie jęki rannego kolegi. Podbiegłem, chwyciłem żołnierza za rękę i mówię półgłosem: - *Nie bój się, to ja! Wstań, musimy jak najszybciej odejść spod zasięgu ognia!* - Zarzuciłem na plecy jego tornister, na ramię pepeszę, za pas włożyłem granaty, drugim ramieniem objąłem rannego. Wyszliśmy na górkę, i nasi wolno też wychodzą. Wyciągam chusteczkę i macham nią. Ale gdzie tam, nie zauważyli! Więc popędzam rannego w kolano kolegę, aby jak najszybciej spotkać swoich. I znowu nic! Na trze-

ciej górcie od nowa macham chusteczką, Młyński odwróciwszy się zobaczył i wskazuje na nas ręką. Zatrzymali się, czekają. Kapral słabnie. *Trzymaj się - mówię - na tamtej górcie są nasi, poniosą ciebie.* Gdy doszliśmy, oddałem żołnierzom jego plecak, broń i granaty. Ponieśli go we czterech na płaszczu.

W innym naszym zadaniu znaleźliśmy się w małym lasku, a po lewej i prawej ręce wznosiła się wysoka skarpa kolejowa. Brzegi skarpy połączone były mostem, pod którym płynęła wąska rzeczka. Rozkazy wydaje nam teraz nie nasz mjr Dąbrowski, ale jakiś obcy oficer. Wybrał mnie i trzech innych z mojej drużyny, rozkazuje wykopać 40 m od mostu, 2 m od brzegu rzeczki stanowisko dowodzenia (SD) o wymiarach 2x2 m i głębokie na 2 m. Na moście stoi Niemiec. Idziemy z Młyńskim pierwszy, dwóch innych pozostaje na obserwacji. Zakreśliliśmy "na oko" kwadrat i gdy tylko zaczęliśmy kopać padły strzały. Czołgając się w stronę rzeczki zauważyłem, że po jednym i drugim jej brzegu przemykają się chyłkiem Niemcy. Zawołałem do Młyńskiego: *Nie podnoś się, cofaj się czołgając do lasku, brzegiem idą Niemcy.* On jednak podniósł się i otrzymał postrzał w brzuch. Leży nieruchomy, a kolejne strzały trafiają w rejon kwadratu.

Poderwałem się (już poza zasięgiem pocisków) i nagle słyszę: *Hände hoch!. Co za Hände hoch? Co się tu dzieje? Widzę rzeczkę, a za nią linię frontu.*

- *Chcieliśmy do ciebie strzelać - tłumaczą się żołnierze - myśleliśmy, że to Niemiec!*
- *Jak to? Nie wiecie, że tu są Polacy?*
- *Nie, nic o tym nie wiedzieliśmy!*

Nie miałem czasu zastanawiać się dlaczego nie wiedzieli, gdyż usłyszałem głośne jęki Młyńskiego. Rzuciłem się ku rzeczce, pochwycili mnie, mówiąc, że Niemcy wezmą mnie na cel, ale wyrwałem się i pobiegłem, a dalej czołgałem.

- *Nie podnoś się - mówię do Młyńskiego - będę ciebie ciągnął.*

Ucichło, przerwali ogień. Oparłem rannego o siebie, idzie jęcząc. Zawołałem do żołnierzy, żeby postawili deskę, aby ranny mógł przejść na drugi brzeg. Sam wszedłem do wody i prowadzę Młyńskiego po desce. W lasku szukam miejsca gdzie go zostawić, aby łatwo go było odnaleźć.

Podchodzę do wysokiego nasypu, a za nim szosa asfaltowa bez przerwy ostrzeliwana przez snajpera. Przeskoczyłem szosę. "Rusek" wrzeszczy: *Oni udrali, ili po prikazu uszli?* Mówię mu, że chcę wziąć czterech żołnierzy aby przenieśli rannego. *No ładno!* - odpowiedział, chowając do kabury trzymany w ręku gotowy do strzału rewolwer. Pownony skok przez szosę i już byliśmy przy rannym. Położyliśmy go na

kocu i wracamy. Upominam żołnierzy, aby mocno trzymali w garści rogi koca i równo przebiegali drogę, bo inaczej ranny wypadnie.

Rozkazy wydaje nam oficer polityczny, ale prowadzi nas zwiadowca. W dużym lesie wykreślił łopatką kwadrat. Znowu kopujemy SD. Nagle pada przed nami pocisk artyleryjski i obsypuje nas ziemią. Drugi pocisk pada za nami. Zostawiliśmy kopanie i uciekliśmy. Trzeci pocisk padł w środek kwadratu i wrył głęboki dół, wyrzucając ziemię wysoko. Zameldowałem majorowi, że nie my, ale pocisk niemiecki wykonał rozkaz.

Major Dąbrowski nakazał nam przy braniu jeńców - tych z bronią odprowadzać do sztabu, a bez broni, puszczać wolno i wręczając im kartkę z napisem: *Gehen sie nach Hause*.

Denerwowało nas kiedy podchodziliśmy do Niemca a on podnosił ręce i wykrzykiwał: *Stalin gut! Hitler kaput!* Jeden z naszych znał trochę język niemiecki, mówię więc do niego: *Powiedz Niemcowi, że Stalin nic nas nie obchodzi* - a Niemcowi pokazuję medalik zawieszony na mojej szyi. Ale on nie rozumiał, więc wręczyłem mu tylko nakazaną kartkę.

Pełniliśmy nad rzeką dzienny patrol. Płynęło po niej kilka łodzi, a w nich Niemcy. Nasi wykrzykiwali: *Chodźcie do nas!*

Obok mnie położył się żołnierz i powiedział: *Już będziemy żyć! Wojna się skończyła.* I w tym momencie pocisk ranił go śmiertelnie. Radziecki żołnierz dostrzegł ogień i posłał na dno Łaby Niemców w łodziach.

Właśnie tu nad Łabą, wytypowano spośród nas 25 kandydatów do szkoły oficerskiej w Gryficach (o czym już pisałem). Poszliśmy wnet na dworzec kolejowy, ale dojechało nas na miejsce tylko pięciu. Reszta rozproszyła się po Polsce.

To chciałem opowiedzieć moim gościom, ale nie zdążyłem. Przerwano mi zaproszeniem na kolację.

Leżąc już w łóżku, przeżywałem podczas bezsennej nocy raz jeszcze każdy z opisanych szczegółów.

c.d.n.

Szanowni, Drodzy Czytelnicy,

pięknie dziękuję Wszystkim za życzliwą pamięć i nadesłane w ciągu 1999 roku życzenia: imieninowe, świąteczne, noworoczne i ... "walentynkowe".

Dziękuję za listy, w których dzielicie się ze mną swoimi osobistymi sprawami. Czuję się wtedy bliska Wam i potrzebna.

Dziękuję za słowa uznania dla mojej pracy redakcyjnej, ale bez

cennej, technicznej współpracy kol. Jerzego Stopy "Głosy" nie mogłyby się ukazywać. (Klubu nie stać na druk w drukarni).

Przykro mi, że nie zawsze mogę odpisać i za to przepraszam.

Ślę Wszystkim serdeczne podolskie pozdrowienia

Do Czytelników!

- Pragniemy utrzymać w bieżącym roku dotychczasową cenę "Głosów Podolan" tj. 4 zł za egz. + kosztą przesyłki.
- W związku z powyższym prosimy wszystkich o inicjatywę w powiększeniu liczby prenumeratorów. Jest świetna okazja, podjąć taką akcję. Nr 1 "Głosów" ukazał się w 1993 roku, w tym roku obchodzi więc swoje 7-me "urodziny".
- Prosimy o wyrównanie zaległości za rok 1999. W sumie daje to dość znaczną kwotę. (Na koniec ub. roku wysłaliśmy wszystkim całoroczne rozliczenie).
- Ponawiamy prośbę o dokonywanie przedpłat na prenumeratę 2000 roku **co najmniej półrocznych**, tj. 16.00 zł. Jest to oszczędniejsze i mniej kłopotliwe dla samych prenumeratorów, ale także dla banku i księgowej Klubu, niż wielokrotne księgowanie drobnych kwot, (jak 4.50 czy 5.10 zł).
- APELUJEMY o wpłacanie (choćby niewielkich) kwot na remonty czy budowę kościołów rzym.- kat. na Podolu. Suma drobnych kwot daje już kwotę znaczącą.
- W okresie letnim Klub "Podole" planuje zorganizowanie około 10-dniowej autokarowej wycieczki na Podole, dla upamiętnienia 55-rocznicy wysiedlenia z domów rodzinnych, roku Jubileuszowego 2000 i 7-lecia istnienia naszego Klubu. Odwiedzimy wiele miejscowości woj. tarnopolskiego oraz kilka znanych z historii miejscowości za Zbruczem, w których do dziś mieszkają Polacy **znający** język polski. Planujemy sfilmowanie wycieczki. Kilkanaście miejsc rezerwujemy dla osób spoza Warszawy. Respektowana będzie kolejność zgłoszeń, które przyjmować będziemy (wraz z zaliczką!) już od maja. O szczegółach poinformujemy, po aktualnym ustaleniu kosztów z biurem podróży "Wilia", które ma u Kresowian dobrą renomę i nie zdziera z nich pieniędzy.
- UWAGA! Informujemy Was o książkach, które zostały wydane, ale których trzeba szukać w księgarniach. (My osobiście też ich poszukujemy). Jeśli Klub dysponuje egzemplarzami dla Czytelników - zaznaczamy to wyraźnie.
- NIE ZAPOMINAJCIE, że jesteście ostatnimi świadkami polskiego życia na Podolu. Czy nie szkoda Wam, żeby jego obraz zagażał gdy nas nie będzie?

Przesyłamy Wszystkim podolskie pozdrowienia

Redakcja

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Śp. Wojciech Ratajski

ur. w 1922 r., nasz Kolega z Gimnazjum i Liceum im. J. Słowackiego w Czortkowie. Żołnierz Armii Krajowej, uczestnik Powstania Warszawskiego, więzień gestapo. Lekarz. Emerytowany dyrektor Szpitala Położniczego w Oleśnicy.

Zmarł 24 października 1999 r. w wyniku wieloletniej dolegliwości po doznanych torturach na Pawiaku.

Bardzo nas zasmuciłeś Wojtku swoim odejściem. Tak niedawno odnaleźliśmy się.

Małżonce - Pani E. Ratajskiej przekazujemy wyrazy głębokiego współczucia.

Irena, koleżanki i koledzy.

Panu **Antoniemu Gołębiowskiemu** - naszemu klubowemu Kole-dze - serdeczne wyrazy współczucia przekazujemy w związku z odejściem 1.01.2000 r. Jego Żony Marii.

Zarząd i Członkowie Klubu "Podole"

Śp. bp Antoni Adamiuk

emerytowany biskup pomocniczy (sufragan) opolski. Urodzony w Old Forge USA 18.12. 1913 r., zamieszkały w Maksymówce (pow. zbaraski), święcenia kapłańskie otrzymał w czerwcu 1939 r., mianowany biskupem w 1970 r.

Brał z nami udział w Zjazdach Tarnopolan (m. in. w Kalwarii Zebrzydowskiej 1994).

Zmarł po długiej chorobie 25.01.2000 r. Ze smutkiem żegnają Go

Tarnopolanie i Zbarażnie
z Klubu "Podole"

Komunikat

Informujemy uprzejmie Kresowiaków - dawnych mieszkańców Skałatu (woj. Tarnopol) i okolic, że ofiary na budowę kościoła w Skałacie, które wpłynęły na konto Klubu "Podole" oraz bezpośrednio do nas w 1999 r. wynoszą 4.299.36 zł.

Przekazano do Skałatu:

- | | |
|----------------------------|-------------|
| 1. w kwietniu 1999 r. | 1.330.00 zł |
| 2. w czerwcu 1999 r. | 1.445.00 zł |
| 3. w styczniu 2000 r. | 1.524.36 zł |
| łącznie | 4.299.36 zł |

Czerwcową przesyłką dla kościoła w Skałacie była X-tą i składała się w większości z ofiar b. mieszkańców Horodnicy i Krzywego.

Sądzymy, że nasze dalsze ofiary dla kościoła w Skałacie będą tam mile widziane i przypominamy o możliwości korzystania z konta Klubu "Podole" w Warszawie:

Klub "Podole" TML i KPW
Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 64
Nr konta 10201068-298465-270-1
z dopiskiem: "na kościół w Skałacie".

(-) Ewa Popiel-Barczykowa

Warszawa, styczeń 2000 r. (-) Antoni Gołębiowski

LISTA OFIARODAWCÓW

Na działalność związaną z wydawaniem biuletynu:

1. Józef Ruczyński	Warszawa	24.00 zł
2. Alojza Rybak	Bytom	11.50 zł
3. Władysław Tkaczewski	Łódź	50.00 zł
4. Tadeusz Zatoński	Gdańsk-Wrzeszcz	50.00 zł

Na kościół w Skałacie:

Kazimierz Czerwiński	Jemielno	100.00 zł
----------------------	----------	-----------

Na kościół w Tarnopolu:

Helena Szmigielska	Warszawa	20.00 zł
--------------------	----------	----------

Wszystkim Ofiarodawcom serdecznie dziękujemy.

SPIS TREŚCI

Dr Tadeusz Z. BŁAŻYŃSKI Warszawianie czasu wojny (pamięci czortkowskich gimnazjalistów).....	1
Kazimierz SIMON Z mojego pamiętnika - wspomnienia z lat 1940 - 1945. Cz. III.....	7
Stanisław JASTRZĘBSKI Oko w oko z banderowcami (Wspomnienia małoletniego żołnierza AK). Cz. XII (Wysiedlenie).....	12
“FRAZA” “Kryształowa noc” w Kosowie w wigilię św. Iwana	17
Marian WOŹNIAK A to działo się w Chomiakówce (pow. czort- kowski)	22
Jan RANICZKOWSKI Urodziłem się w Kamieńcu Podolskim. (Wspom- nienia). Cz. X.....	26
SZANOWNI, DRODZY CZYTELNICY	30
DO CZYTELNIKÓW	31
Z ŻAŁOBNEJ KARTY.....	32
KOMUNIKAT	33
LISTA OFIARODAWCÓW	33